



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackim: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgehera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

OSOBISTE WSPOMNIENIE

Z ŻYCIA MARYI SOMERVILLE.

przez jej córkę

Martę Somerville.

(Personal recollections from life of Mary Somerville, by her daughter, Martha Somerville—London—1874).

(Dalszy ciąg).

— „Matka moja—pisze we *Wspomnieniach* swoich Marya Somerville — czytywała jedynie Biblię, kazania i gazety, ale była bardzo rozumną w postępowaniu z ludźmi i posiadała wielką siłę wyrażenia, tak pisząc, jak mówiąc.“

— „Matka moja—dodaje w innym ustępie — bała się niezmiernie grzmotów i błyskawic. Poznawała zbliżanie się burzy ze stanu chmur i przygotowywała się do niej, wyjmując stalowe szpilki z włosów. Potem siadała na sofie, zdaleka od komina, który miał bardzo wysoki okap i głośno czytała Biblię, szczególnie szczytne opisy burz, w psalmach zawarte. Przytulona do niej, drżałam tem większem przerażeniem, a piękny, przez nas wszystkich bardzo lubiony wyżeł, Hero, na pierwszy odgłos grzmotu zaczynał wyć, uciekał z ogrodu do pokoju i cisnął się też do nas, kładąc mi łeb na kolanach. Wtedy ojciec, śmiejący się niepomału z naszego strachu, przynosił matce kieliszek wina.—Wypij to Peg—mówił—to ci doda odwagi.... Matka prosiła go wtedy, aby kazał zamknąć okiennice, a choć nie mogła już czytać pociemku, trzymała na kolanach Biblię dla obrony.“

W innym miejscu pisze: „Sypiałam w jednym pokoju z matką. Raz obudziłam się rano i krzyknęłam z przerażenia:—Błyska się!.... Ale matka moja rzekła mi po chwili:—Nie, pali się.... Wstała prędko, otworzyła okiennice i zobaczyłyśmy, że szyby okien są gorące od płomienia buchającego w pobliżu. Paliło się ogromnie o jeden dom od nas, a sąsiedzi nasi przezedrzwili wyrzucali oknem na ulicę rzeczy, sprzęty, nawet szkło i porcelanę. Ubrałyśmy się prędko i matka posłała natychmiast do znajomego stolarza po czterech ludzi. Upakowano rzeczy, papiery, srebra a matka rzekła wtedy:—No, teraz zabierzmy się do śniadania. Będzie dość czasu wynosić rzeczy, skoro zajmie się dom obok.... Mogło to nastąpić łatwo, gdyż paliła się fabryka powozów (było to w Edynburgu) a beczki z terpentyną i olejem pękały co chwila od płomienia. Kilku znajomych panów przybiegło, aby dać nam pomoc, ale z podziwieniem ujrano nas siedzące przy śniadaniu, jakby się nie nic działo. Ale moja matka posiadała wielką przytomność umysłu i wielką odwagę w potrzebie. Ogień został szczęśliwie ugaszonym i całą stratą z naszej strony było zapłacenie czterech tragarzy, którzy nie zostali użyci. Sąsiedzi nasi stracili w popłochu wszystkie swe ruchomości.“

Ta matka rodziny, która bała się grzmotów i błyskawic, a okazała się nieustraszoną w obec płomieni pożaru, lękała się równie wody, morza. Córka opisuje kilka komicznych scen z powodu tej niewieściej tchórzliwości wynikłych, a przecież trzeba sobie przypomnieć, że ta sama kobieta w chwili bolesnego, jako młoda małżonka rozdziału z mężem, nie lękała się pusić z nim na morze w położeniu wyjątkowym, aby potem słaba, rozżalona, każdej swej chwili niepewna, odbyć samotnie daleką, kilkudziesięcio-milową drogę. To też zarysowywa nam się przed oczyma postać kobiety energicznej, silnego umysłu i gorącego uczucia, która pomimo drobnych wad i braków swego czasu, miała duszę niepospolitą i córka też, głównie przez nią chowana, bo oj-

ciec marynarz bywał w domu rzadko i krótko, mogła się wyrobić na wyższą kobietę. Wprawdzie nie dawano jej umysłu w porze jego wiosennego rozwoju tej nauki, tej wiedzy, których łaknęła, ale nie zrobiono jej istoty małą przez nędzny egoizm uczuć, przez zaciśnięcie ducha, przez niski kierunek gustów i skłonności. Wykształcono szlachetnie moralną jej istotę i to dało pomoc, poparcie jej wrodzonym zdolnościom, dało jej powagę charakteru i siłę woli, wytrwałość, pracowitość potrzebną, aby następnie zdobyła sobie sama to, co było cichem pragnieniem jej ducha. Żmichowska napisała, że prawa na jakich duch ludzki rozwija się i lot swój bierze, zostaną na zawsze tajemnicą między Bogiem a tym duchem, lecz ja bym powiedziała, że dla ogółu tajemnica ta jest złożona w mniejszej lub większej zaćmieniu, podniosłości rodziców dziecka, otoczenia rodzinnego. Nie system pedagogiczny, a przynajmniej nie tyle system pedagogiczny, co atmosfera moralna rodzinnego domu działa w zniżający lub podnoszący ducha sposób. Każde wychowanie musi przez nieuniknioną rzecz konieczność popełnić niejeden błąd pedagogiczny, ale błędy, omyłki, nawet zaniebdania pewne wyrównają się, naprawią, dopełnią, jeżeli tylko rodzina piastująca dziecko na swem łonie była myślącą, czującą szlachetnie. Fundament charakteru, jaki się w pierwszych latach życia nabywa, jest jak gdyby tą podwaliną, na której następnie buduje się cała istota człowieka. Moralne urobienie stanowi o wszystkim, nawet o umyśle, nawet o naukowości człowieka, bo jest to grunt, w który dopiero sięja się ziarna wszystkich przymiotów ludzkich. Nawet o stopniu przyszłej wiedzy, takim lub innym kierunku umysłu, o studiach przyszłych nie sama jedynie siła inteligencji i jej rodzaj rozstrzyga. Moralista francuzki La Rochefoucault napisał, że szanuje bardzo wysoko każdą kobietę uczoną, bo jej uczoność jest dowodem, że pozbyła się najgłówniejszych wad poci swojej: lekkomyślności i braku wytrwania, a na te to właśnie zasadnicze strony charakteru wpływa już pierwsze wychowanie dzie-

eka, przecież nie przez same bezpośrednie, specjalnie na to przeznaczone działania, bo wychowanie w każdym swym przejawie jest dziełem całości wychowujących wpływów. Tak też Marya Somerville urobiła się w wielkiej części na to, czem była przez kształcące ją wpływy dzieciństwa. Wychowanie jej wprawdzie nie założyło sobie zrobić z niej uczonę matematyczki, a nawet działało wręcz przeciwnie, broniąc jej poniekąd uczoności, książki, ale energiczna, szlachetna, kochającego serca matka chciała z niej mieć podobną sobie kobietę i uformowała tak jej ducha, że silnie stojąc przy swych przekonaniach, ukochaniach swoich, umiała dzielnie środki do tego chwycić, umiała — jak matka jej, zwalczając wrodzoną, czy nadaną trwożliwość — przełamać opór tego, co w niej i po za nią stało jej na przeszkodzie i dopięć założonego celu.

Wspomnienia Maryi Somerville, sięgające lat bardzo wczesnego dzieciństwa, kładą wielki nacisk na miejsca, wśród których rosła. Już to w ogóle lata dziecięce i pierwszej młodości są więcej szczegółowo malowane. Potem i wydająca *Wspomnienia* córka pewne ustępy usuwa, podając tylko katalogowym sposobem zaszły w nich wypadki i sama pisząca cofa się przed rozbiorem uczuć więcej osobistych, co jeżeli jest brakiem książki i zostawia w wielu miejscach czytelnika niezaspokojonym, przemawia bardzo za delikatnością uczucia obu autorów *Wspomnień*. Marya Somerville nie miała w sobie nie aktorskiej, pozującej natury; córka umiała uszanować tę wstydlivość i razem tę dumę serca, która powiada: „z uczuć mych poemat dla Boga!“. Nie pociągnęła jej chęć efektu, nie spekulowała na rozgłosność imienia matki — i stąd książka pozostała bardzo wstrzemięźliwą w wynurzeniach swoich: połowa osobistości, którą ma malować, pozostaje za zasłoną, a czytelnik musi sam sobie tę brakującą część dotworzyć, biorąc do tego materiały z logiki faktów, uzupełniających życie przedstawiane. Są też to może w ostatnim rzeczy wyniku najprawdziwsze rysy każdego ludzkiego obrazu; nie pokazują pożądań spełzłych na niczem, chęci, które nie zdołały znaleźć sobie wyrazu, takiego człowieka, jakim człowiek ten być by pragnął, ale takiego, jakim był rzeczywiście dla siebie i drugich. Marya Somerville przedstawiona jest w takiej surowej prawdzie, przecież nie traci nic na tem, że przemawia jedynie wymową faktów. Jednym z nich a wybijającym silnie w wielu ustępach *Wspomnień* jest to, że bardzo musiała kochać naturę i znajdujemy na pierwszych stronicach pamiętnika szczegółowy opis ogrodu i okolicy, otaczającej dom jej rodzinny w pobliżu Burntisland, małego nadmorskiego miasteczka portowego, które leży nad brzegiem Forth, naprzeciw Edynburga. Była to własność macierzystego jej dziada, przecież stanowiła stałe siedlisko jej rodziców, a głównie można powiedzieć matki, która w czasie niebytności męża żyła tam z dziećmi „bardzo oszczędnie“. W późniejszych wspomnieniach powtarza kilkakrotnie, że w czasie tej nieobecności matka jej nie bywała nigdzie, nawet w teatrze, gdy niekiedy zamieszkiwała w czasie zimy w Edynburgu dla stosunków i potrzeb rodzinnych. Dziecko rosło więc od kolebki w surowym pojęciu obowiązku, w surowym pojęciu małżeństwa, rodziny i znalazła to może potem kobieta uczona, jako dobry cement, spajający dwie oddzielne strony jej życia. Dla początków zaś tego życia było rzeczą niezmierną, jak się później pokaże korzyści, że młode jego lata płynęły jak gdyby na wsi, w zetknięciu blizkiem, potem w związku serdecznym z naturą, w ukochaniu jej żywem. Burntisland nie było wcale miejscem handlowym; eiche, spokojne, patryarchalne w swych obyczajach, tworzyło dla młodziuchnej istotki zdrowe, swobodne i prosto poetyczne otoczenie, z jednej strony wznosistych wzgórz i dolin, z drugiej wybrzeży morskich, do których dosięgały rozległe ogrody i sady zamiejskiego dworu. Matka miała wielkie zamiłowanie kwiatów, których rzadkie okazy mąż przywoził żonie ze stron dalekich i córka ukochała je podobnie, albo raczej ukochała je nieco inaczej, bo miłość swą rozszerzyła i do tych dzikich, prostych kwieci, które ręka Boża rozsiała do koła, i zbierająca je dziewczynka weszła w pierwszy stosunek, zawarła pierwszy ślub przyjaźni z naturą. „Matka nauczyła mnie pacierza i czytać — pisać. Czytałam z nią co dzień Biblię i modliłam się rano i wieczór, zresztą miałam zupełną wolność.“ Wol-

ność była ograniczona zakresem ogrodów, dla dziecka przecież był to świat ogromnych przestrzeni, wśród których dziewczynka bujała, jak ptaszki, z których robiła sobie towarzyszy i przyjaciół. Zamiłowanie to zostało jej do końca życia; obłaskawiała sobie ptaki, trzymając je przecież wolno, bez przymusowego w klatce zamknięcia, tak jak za lat dzieciennych, kiedy ze starszym bratem otwierała w zimie okno, a biedne głodne wróbelki przychodziły aż na stół zbierać okruszyny zostawione dla nich po śniadaniu. Za to nie bawiła się nigdy lalką, nie lubiła jej, wiedziała, że to jest rzecz martwa, nie ożywiona, gdy temczasem ptaki i kwiaty żyły, a młodziutka myśl, już bystra, śledziła życia tego objawy. Znała pospolite nazwy tak wszystkich ziół, kwiatów i krzewów, jak ptaków, muszli, skorupiaków nadmorskich. Dziesięcioletnia zaczęła już robić sobie zbiory, nawet geologiczne, choć nie miała najmniejszego pojęcia, że to ktoś czyni. Dostrzegła na węglach kamiennych odciski, jak gdyby roślin, i zaciekawiona, choć znaczenia rzeczy nie wiedząca, znosiła je sobie do domu i chowała jako przedmioty zajmujące. Miała także zbiory różnych jaj ptaków dzikich, nawet zagranicznych, które dostawała od żeglarzy i majtków.

Dostawała podobnie i skarby odmiennego wiele rodzaju: legendy ludowe i baśnie o cudownych stworzeniach morskich, zajmujące silnie żywą jej wyobraźnię. Marzyła o tych istotach tajemniczych, śledząc zarazem obyczaje blizkich jej stworzeń. Jaskółki były jej ulubionemi; odlot ich i przylot zaciekawiał ją i dawał jej materiał do marzeń, w ogóle ptactwo odlatujące zajmowało ją żywo. Dostrzegła że swojskie gęsi zrywały się, aby lecieć z dzikimi, ale usiłowania te były próżne. Śmiała się z nich, ale i żałowała razem: miała snąć przeczućwie pojęcie boleśnego stanu takich istot, którym do lotu w przestrzeń odpowiednich skrzydeł brakuje. Ona przemogła zwycięzko brak taki i wydostała się tam, gdzie ją wzywał porw tęsknot tajemnych.

A było i zajęcie drugie, drugie zamiłowanie, które zbudziło się w niej samodzielnie, nie zaszczipione od nikogo — czytanie. W siódmym, ósmym roku życia zaczęła czytać a bibliotekę jej składały: Tyśiąc nocy i jedna, Robinson i klasyczne w literaturze angielskiej dzieło religijne: Postępy Pielgrzyma. Czytała z wielkiem wzruszeniem, z wielkiem zajęciem, choć niepoprawnie, z prowincjonalną wymową szkocką, bo czytywała sama. Był to uderzający rys w jej charakterze, że wszystko co stanowiło materiał budzącego się w niej życia, bierze sobie „sama“. Wszystko z głębi swej wydobywa, a rzeczy w otoczeniu swem spotkanych, używa w sposób oryginalny. Dlatego lalka, zabawka gotowa, podana jej w ręce, nie może zająć jej: myśl nie ma tu dość żywiołu, wyobraźnia jest wyższego polotu i zadowolnić się nie może konwencyonalnem, ciasnem kołem, w którym krążyłby musiała po wskazanych torach. Ten szczegół powinienby uderzyć uwagę pedagogów, bo przy dzisiejszem upowszechnianiu się metody Fröbela, ma on swoje poważne znaczenie. Wyobraźmy sobie Maryę Somerville w ogródku Fröblowskim, umysł jej wiskany gwałtem w pewne zamknięte szranki. Zyskałaby niezawodnie dużo wcześniej wiele wiadomości, pożądanych dla niej, czy przecież umysł nie straciłby na sile, dzielności, na polocie i żywoci? czy w pierwszej epoce wychowanie powinno zasadzać się głównie na przyswajaniu umysłowi dziecka jak największej liczby wiadomości, czy raczej dbać o największe rozwijanie władz umysłowych, o formalne na ten umysł działanie?

Czy pewna swoboda zostawiona temu umysłowi przy pierwszym rozkwitaniu z obłonek dzieciństwa nie jest warunkiem oryginalności, samodzielności, warunkiem niejakiego już kierunku, zaznaczenia się naturalnych skłonności tego umysłu? Czy nie jest to chwila, w której istota ludzka zaczyna niejako brać rozpęd duchowy? Pytanie niezmiernie ważne, które wiążąc się z całym kierunkiem pierwszego wychowania, przez wszystkich myślących rodziców, przez każdą matkę, każdą domową młodych dzieci nauczycielkę na pewnych sobie podstawach rozwiązaniem być potrzebuje, aby następne postępowanie z dziećmi było konsekwentnem i niewzruszonym.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NIEWIASTA POLSKA W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA

(1800—1830 ROKU)

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

Smutek Gertrudy. — Choroba Pawła. — Odwiedziny w Podlesiu. — Śmierć wojewody. — Wyjazd wojewodziny do Różanki. — Przybycie. — Zaproszenie tam pani Niemirowej.

Od tej pory mowy o wojewodzinie więcej nie było. Tak upłynęło trzy tygodnie. Wojewoda powrócił, znalazł żonę smutną. Rzewuski opowiedział mu wypadek i ratunek dany przez dzielnego Niemire; nazajutrz przeto sam się wybrał do Podlesia wojewodą z podziękowaniem i na nowo wdowę z synem zapraszał; ale ci skromni i zakochani w swej samotni, niełatwi byli do odwiedzenia zamku: oboje się godzili w jednej myśli, że za wysokie to progi na ich nogi.

Gertruda, zamknięta w swej sypialni, tylko przy obiedzie i kolacyi dawała się widzieć, całe dnie siedziała u siebie w głębokiej zadumie, wieczorami tylko błądziła po wielkim ogrodzie prawie do północy. Za powrotem rzuciła się na łożo, a przywiązana Podstolina z przestrachem wysiedziła, że nieraz spała ujęta snem głębokim, ale gorączkowym, nie rozbierając się wcale.

Po miesiącu oczekiwania Wojewodzina wysłała posłańca z listem do Podlesia, zapraszając rzewnie słowa do przyjazdu na zamek: otrzymała odpowiedź od pani Niemirowej, iż pomimo najwyższej chęci złożenia swego uszanowania, wyrzec się musi tej przyjemności, gdyż syn od paru tygodni jest słaby i nigdzie nie wyjeżdża. Z przerażeniem odczytawszy ten list, nazajutrz wybrała się Gertruda pośpiesznie i na ganku dworku ujrzała siedzącą samą wdowę, tak zatopioną w myślach, że dopiero podniosła głowę, gdy usłyszała turkot pojazdu na podwórzu.

Poznawszy gościa powstała i uprzejmie powitała. Gertruda uściśliła serdecznie sędziwą matronę, porwała jej rękę, pocałowała i do serca swego przytuliła. Ten hołd dla wieku oddany, wiele ujął panią Niemirową, wprowadziła wojewodzinę gościnnie do bawialnego pokoju i usiadła już poufale obok młodej kobiety; gdy zaś łączyła w jej oczach ujrzała, zapytała słodkim głosem:

— Co ci jest, moje kochane dziecko?

Gertruda osunęła się do jej kolan, a składając drobne rączki jak do modlitwy.

— O bądź dla mnie matką! — zawołała łkając, bo ja biedna sierota: niepamiętam głosu mojej rodzonyj matki, a potrzebuję go teraz.

— Uspokój się, pani droga, przejdziemy się po ogrodzie, to się obiedwie orzeźwimy. Ja w każdej trosce tam chodzę, a po modlitwie wracam pocieszona.

Ogród ten obszerny otaczał gęsty szpaler starych lip, a w środku stała na wyniosłym wzgórzu altana wygodna; tu weszły razem. Wojewodzina widać ciężar życia złożyła z serca, bo wdowa płacząc rzewnie, tuliła jej piękną główkę do serca. Kiedy spojrziała w okno altany, zskąd widok rozległy na całą okolicę, okiełna wzruszoną głosem:

— Mój Paweł wraca, namówiłam go dziś do przejażdżki, ma wielki ból głowy, a nawykł do konia już dawno.

Gertruda zwróciła spojrzenie na obszerną równinę, a gdy dojrzała jeźdźca na karym arabczyku, oczy jej zajaśniały, żywy rumieniec wybił na blade przed chwilą oblicze.

Paweł, gdy z zarośli wyjechał na gładką drogę, nacisnął rączkę wierzchowca i z kopyta lotem ptaka, pomknął ku ogrodowi. Na ten widok wojewodzina krzyknęła przejęta obawą, a jeździec podniósł głowę, w miejscu osadziwszy spienionego rumaka i ujrzał matkę i miłego gościa. Z rozjaśnioną twarzą wdzięcznie obiedwie powitał.

Gertruda chętnie przyjęła zaproszenie na wiejską wieczerzę i późnym odjechała wieczorem. Pan Paweł konno odprowadził ją aż do bramy zamkowej.

Stary wojewoda już spał—Rzewuski tylko jeszcze czuwał. Ukłoniwszy się nisko, rzekł przytłumionym głosem....

— Nasz dobry pan, uważam że chory, chociaż udaje zdrowego, ale się bardzo zmienił. Możeby posłać po doktora....

Gertruda chwilę się zadumała, westchnawszy z głębi piersi, nagle zwróciła się do dawnego dworzana i niezwykle uprzejmie przemówiła....

— Kochany panie Janie byłeś i jesteś przyjacielem mego męża: rządz i posyłaj na wszystkie strony, — nie żałuj złota....

I podała mu rękę: w głosie jej znikł ton wyniosły i dumny.

Starzec stał jak zaczarowany, porwał dłoń jej białą, ucałował ze łzami — i natychmiast wysłał kilka pojazdów, rozstawiając konie, na wszystkie strony.

Nazajutrz w południe już czterech lekarzy składało konsylium, liczni konni posłańcy stali na zawołanie.

Choroba wojewody była groźna, trwoga Rzewuskiego niedaremna; sędziwy pan odrazu stracił przytomność, a po upuszczeniu obfitem krwi, w parę tygodni zakończył życie.

Wiść o zgonie wojewody dobiegła najpierw do Podlesia. Pani Niemirowa kazała co rychlej zaprzężyć do starego pojazdu i sama pierwszy raz się wybrała do zamku. Kiedy ją ujrzała wojewodzina, wybiegła na ganek, serdecznie witając, nie tylko po ufałe ścisnęła, ale z podziwieniem całego dworu ręce jej całowała.

— O moja mateczko kochana! przynosisz mi pociechę i zbawienie w moim smutku i żałobie.

Pani Podstolina ze szczególną uniżonością powitała przybyłą — stary Rzewuski, co znał zmarłego Niemirę „dobrego i zanego pana“, jak wyrażał, przyszedł ze szczerym pokłonem: słowem wdowa z Podlesia czuła się jak w domu. Wojewodzina ani słuchać nie chciała o jej odejście.

— Mateczko kochana, mówiła pieszczotliwie, razem będziemy spały w mojej komnacie, zabieram cię w jassy jak mawiali, wszak prawda, nasi pradziadowie.

Z początku słaby opór stawiała, ale później przystała na gorące prośby wojewodziny.

Tymczasem nabalsamowano zwłoki zmarłego, robiono przygotowania do wspaniałego pogrzebu, który oznaczono w ciągu trzech tygodni, ażeby cała jego rodzina, miała czas do przyjazdu.

Obchód był wspaniały, wszystkiemu zajmował się Rzewuski, nie zapomniawszy o starym obyczaju, ażeby przy trumnie zgasłego pana skruszyć herbową tarczę, gdyż zstąpił bezpotomnie do grobu. Był to niewątpliwie ostatni obrzęd dawnych rycerskich czasów, na który spoglądano wówczas.

Po hojnej *stypie*, pani wojewodzina sprosiwszy całą rodzinę zgasłego męża, weszła na wielką salę zamkową w towarzystwie Rzewuskiego, a oddawszy poważny ukłon, przemówiła uroczystym głosem:

— Oddałam rękę zmarłemu wojewodzie nie w widokach majątkowych, gdyż wiecie panowie dobrze, że własną fortuną uratowałam go od upadku i opłaciłam sówicie marny już dla mnie tytuł. Przyjacieli mego męża i mój, ciągnęła dalej, wskazując na Rzewuskiego, zna cały stan interesów; upoważniłam go przeto, ażeby całe mienie po wojewodzie oddał w ręce najbliższych krewnych; ja nie nie potrzebuję, com ofiarowała—nie żądam zwrotu. Jutro opuszczam ten zamek—niech go nowe dziedzice zajmą—a teraz żegnaj dostojne grono.

Wszyscy zgromadzeni stali z podziwieniem, gdy wojewodzina z królewską powagą opuściła salę.— Również ze wschodem słońca wyjechała wraz z podstoliną spiesząc do rodzinnego dworu w *Róźance*, który dla niej teraz stał się najmilszym schronieniem.

Dwór to był staroswiecki, murowany, ale wewnątrz miał pułapy z drzewa, którego jeszcze nie mało w wielkich lasach do tych dóbr należących pozostało. Grube belki, poczerńnięte od lat kilkuset, trzymały się zdrowo, a ściany domu, wedle dawnego zwyczaju, gdzie nie były wybielone, obite makami i już nieco wyblakłymi *gobelinami*.

Dworzec był obszerny, złożony z dwunastu pokoi, oprócz wielkiej sali od ogrodu o sześciu oknach, z wyjściem na podniesiony taras, kuchni i izb dla służby.

Dwie długie *oficyny*, zamieszkiwał liczny dwór dawny i czeladź; przy wejściu do ogrodu stał piętrowy, murowany *Lamus*, z żelaznymi drzwiami, ocieniony kilku lipami.

Poza dworem rozciągał się rozległy ogród owocowy i jarzynny, mający wiele jeszcze starych świerków, jodeł, modrzewi, dębów i jaworów, a za nim przedzielony szerokim rowem, zaczynał się bór, rozciągnięty daleko w półkole.

Dziecięca pamięć Gertrudy zachowała wiernie wspomnienie tego gniazda rodzinnego; ale Podstolina, która wiele tu lat przy jej matce zamieszkiwała i ztąd poszła za męża, więcej jeszcze i żywszych wspomnień miała. Nie było kącika prawie coby jej nie przywodził jakiego szczegółu z lat młodych, kiedy dziewczęciem, skakała wesoła, a następnie jako panna na wydaniu gospodarząc obchodziła.

Przez całą drogę po wyjeździe z zamku, wojewodzina w głębokiej zadumie milczała, dopiero radość wybiła zarówno na jej, jak i Podstoliny oblicze, kiedy ujrzały krzyż z *Męką Pańską*, na początku długiej alei lipowej, którą zamykał dworzec w *Róźance*. Okrzyk radosny wyrwał się z ich piersi, a kiedy Podstolina zaczęła się modlić, Gertruda przeżegnawszy się tylko, z rozjaśnionem spojrzeniem wpatrywała się w tak drogą dla siebie siedzibę.

We dworze ruch coraz większy, służba cała wybiegła na ganek i podwórze, oczekując przybycia pani, o której przygotach dziwaczne krążyły już wieści. Kiedy wysiadła z karety, wszyscy olnieni jej urodą, młodością i wdziękiem, stali zdumieni, gdy się zbliżyła do niej sędziwa klucznica *pani Stanisławowa*, jak ją po mężu zwano, i z nieśmiałością chciała ucałować jej rękę.

Gertruda stanęła — popatrzyła uważnie, usunęła dłoń swoją....

— To pocziwa Katarzyna! zawołała ze łzami, rzuciła się w jej objęcia, ściskając i całując ją serdecznie.

Pamięć dziecinna nie zawiodła — była to wierna sługa jej rodziców. Starościna z łkaniem osunęła się do kolan, przemawiając drżącym od wzruszenia głosem:

— To panuleńka, złotko drogie — mnie poznała po tylu latach, nie zapomniawszy swojej Katarzyny....

To spotkanie, jeżeli rozrzewniło wszystkich, zarazem jak najlepiej też usposobiło dla młodej pani. Radość upromieniła smutne długo oblicza i każdy odetchnął swobodnie i wesoło.

Gertruda z Podstoliną obiegły dwór cały i ogród; z rozczuleniem spojrzęła na mały w nim ogródeczek oddzielony sztachetkami, gdzie za dziecięcych lat sadziła ulubione kwiaty. Przy nim stał pochylony laty, siwy jak gołąb Stanisław, ogrodnik, a mąż klucznicy Katarzyny, on to troskliwie czuwał nad nim, aby nie się w nim nie zmieniło, to też gdy tu nadeszła, otwierając z pokłonem niskie wrota, rzekł:

— To naszej panuleńki ogródek, strzegłem jak oka w głowie i teraz pani wojewodzynie oddaję—całutki jak był przed laty....

Ujęła śnieżną głowę starca w białe dłonie, a całując ją przemówiła rzewnie....

— Dziękuję ci serdecznie, mój Stanisławie, już się teraz nie rozdzielimy z sobą. Tu żyć i umrzeć pragnę.

* * *

We dworku na Podlesiu, dawna cisza panowała. W kilka tygodni po pogrzebie wojewody wyrzekła matka do syna:

— Mój kochany Pawle! czeka mnie droga daleka....

Syn z trwogą spojrzął na nią.

— Nie lękaj się, moje dziecko! Nie o tej mówię drodze, która się kończy grobem, ale chciałam cię uprzedzić, że jak tylko list od wojewodziny odbiorę, pojedę do *Róźanki*, bom dała jej na to moje słowo.

Wzrok Pawła się rozjaśnił, żywe rumieńce wybiły na zbladłe przed chwilą lica....

— To należałoby, droga mateczko, wcześniej o przyborach pomyśleć — odezwał się prędko, aby ukryć wzruszenie swoje, bo to będzie przynajmniej parę dni podróży.

— Nie potrzeba... zapewne przyśle pojazd i służbę; tak mi przynajmniej mówiła. Wreszcie zobaczmy.

Niemira od tej chwili ze zwykłego zaspiania wyszedł odrazu: orzeźwiał, poweselał i wdowa nigdy w tak dobrym humorze nie widziała syna swojego od czasu przybycia z wojska.

W kilkanaście dni później, pod wieczór, zajechała w pięć dzielnych koni kareta ze służbą. Stary, zaufany kredencierz wojewodziny doręczył jej list z oświadczeniem, że konie rozstawione na całej drodze czekają.

Nazajutrz przeto pani Niemirowa po rannem śniadaniu wcześniej wyjechała odprowadzona parę mil przez syna. Na rozjeździe, żegnając go i błogosławiąc z cicha, szepnęła:

— Bądź dobrej myśli, bądź wesół jak teraz, mój Pawle. Bóg czuwa nad sierotami.

(Dalszy ciąg nastąpi).

SOFONISBA

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH

Emanuela Geibla

przełożył z niemieckiego

Józef Grajner.

(Dalszy ciąg).

Scena 5.

Sofonisba. — Potem Tamara,

SOFONISBA (*sama*)

Potęgi wieczne! gdzież mnie w tej zawiei Zrządzeń pędzicie? W jakież niezgłębione Rwiecie mnie fale! Czyż w nich nie utonę? Gdy mam nieszczęsnej tej mojej krainie Kupić ostatnią nadzieję obrony, To niechaj nędzna reszta szczęścia ginie, Kobięcych marzeń świat niegdyś rojony— Niech jak spżowe posagi świątyni Martwem narzędziem wam będę!

TAMARA (*wchodząc*)

Bogini

Modły me, widzę, przyjęła łaskawie! Z błyszczącym okiem i radosny prawie Spotkał mnie książę na wschodach w tej chwili. Jesteście w zgodzie!

SOFONISBA (*boleśnie*)

Ach, siostró ma!

TAMARA

Czyli

Pozór mnie zmylił? Nie, nie! Tak spojrenie Tego nie błyszczy, kto knuje zniszczenie. Nie! Tyś dlań lepsza! on do nas powraca.

SOFONISBA

Powraca. Może chwila ocalenia Blizka, a jednak.... gorzkie mi napoje W usta lać dała czara przeznaczenia! Serce wstręt czuło....

TAMARA

Siostró!

SOFONISBA

Myśli moje

Nie tak pogromcy posąg malowały: Oczekiwałam wzniosłości kamiennej, Lub oziębłości lodowatej skały, Lecz nie tej woli ślimaczej a zmiennej, Giętkiej i wątlej. Uczuć jego fale To piasek, w pustyni palony upale, Wichrów przelotnych burzami miotany, Z dołu się w górę rzuca na przemiany Ścierając wiecznie ślad wczorajszej drogi.

Lata mu całe pierś zemstą pałała:
W zemście tej była serca moc i chwała
I oto nagle na ten wdzięk ubogi
Rozgorzał. Niby nieletnie pachole
Gwiazd by mi z nieba chciał natrząść pod nogi,
I toż hart męża!

TAMARA

A tyś mu nadzieję
Łaski swej dała.

SOFONISBA

Czy tu o mą dołę
Idzie? Gdy ludu mego byt się chwije,
Mogę odtrącać miecz, co go obroni,
Choć ten miecz błyska w niemilej mi dłoni?

TAMARA

Lecz jeźlim dobrze oceniła żary
Które z płomieni lic jego świeciły,
To po nagrodę spełnionej ofiary
Do ciebie przyjdzie.... A masz ty, twe siły?

SOFONISBA

Wtenczas, gdy jeszcze żadną życia klęską,
Żadnym nie była dotknięta zawodem,
Kiedym wierzyła biedna, sercem młodem
W miłość i szczęście i podniosłość mężką,
Spełniłam przecież wszystko, co mi Bogi
Jako ojczyzny mej stawiały prawa:
A dziś, gdy dawna wiara snem się stawia,
Gdy złudne mary rozwił wiatr złowrogi,
Mamże się cofać?—Kartagi zbawienie
Poświęcać widmu, które już nie łądzi?

TAMARA

Zaliżbyś mogła?....

SOFONISBA

Co niebo dla ludzi
Jak najędzniejsze daje przeznaczenie,
Przyjmę i cicho spełnić jestem zdolna.
Twardego losu okrutność powolna
Tak urobiła mnie w życia kolei,
Tak ran serdecznych drażniła mi blizny,
Że żadnej własnej już nie mam nadziei
I jestem tylko sługą mej ojczyzny!

Scena 6.

Ciz i Batu.

BATU

Królowo!

SOFONISBA

Batu!.... Tyż-to wracasz żywy?
Ciebież to widzę?....

BATU

Żyję nieszczęśliwy!
Wracam z rzymskiego obozu, z niewoli!
Giermek, zabrany z pana martwym trupem,
Zwycięzcy swego stał się nędznym łupem—
Ale się Scypio użalił mej doli,
Puścił, pozwolił wrócić, abys, wdowo,
Ostatnie męża usłyszała słowo....
Czy wiesz jak Syfax umarł?

SOFONISBA

Wiem....

BATU

O pani!
Twojem ostatnie jego technienie było....
Gdy pokonany srogich losów siłą
Już u śmiertelnej znalazł się otlełani,
Gdy na ostrz miecza miał paść zrozpaczony,
Rzekł mi:—O Batu! to dla mojej żony....
Tę stał jej zanieś, jako dar ostatni,
Gdy miecz nie będzie żadnej dłoni bratniej,

Gdy wszystko inne zdradzi i omyli,
Ten druh jej wiernym zostanie....
W tej chwili
Skonał.... Ja, pani, oręż ci przynoszę....
(*Podaje jej pugińal*).

SOFONISBA

Tak! Mój przyjaciel.... O! proszę cię, proszę,
Chodź tu, na serce, abym blisko siebie
Miała cię zawsze, bym w każdej potrzebie
Czuła pociechę twej pewnej pomocy!

BATU

Niech cię Bogowie mają w swojej mocy....

SOFONISBA

Jeszcze ku tego ratunku uchronie
Dzisiaj się moje nie wyciągną dłonie.
Po ciszy, która była śmiercią, nagle
Wiatr szczęścia powiał w losów naszych żagle,
I Massynissa, wróg nasz do tej chwili,
Pod przyjaźniejszym natchnieniem się chyli
Na pobratymców nieszczęśliwych stronę:
Zastęp Numidów swoich na obronę
Przyrzekł mi śpiesznie wprowadzić w te mury.
Cóż, starcze? Mileczysz i wzrok masz ponury....

BATU

Zamiar zuchwały, a jednak go może
Spełnić odwaga, bo wiele dokona
Kto śmiało waży.... ja przecież się trwożę....
Lękam się....

SOFONISBA

Czego?

BATU

Lękam się Scypiona!
Orlego wzroku i ducha, co w łonie
Potężnem mieszka.

SOFONISBA

Że raz los mu w dłonie
Dał szczęście, sądzisz, że już odtąd zawsze
Zwycięzcą będzie.... O! jeszcze łaskawsze
I dla upadłych mogą nadejść chwile....

BATU

Nie znasz go pani. W wielkości swej siły
Inny on, różny, od wszystkich do koła.
Jakby się rodził z koroną u czoła,
W boju, w pokoju po królewsku włada.
Zwyczajna siła w proch przed nim upada,
I nienawidząc jeszcze mu potrzeba
Oddać cześć korną.

SOFONISBA

Dobrá była gleba,
Na której posiał uczynek wspaniały.
Więc to jest, mówisz, Achill wzmartwychwstały...
Na Adonisa! Zobaczyćbym rada
Czarnoksiężnika....

BATU

Lud o nim powiada,
Że mu Bóg jakiś ojcem. Nocną ciszą
Nieraz w namiocie jego głosy słyszą;
Z pod ziemi głowa wyrasta węzowa—
I on z nią radzi.

SOFONISBA

Bajka obozowa....

BATU

Jest przecież jakiś duch, który go broni.
Sam to widziałem w owej walce słoni,
Gdy napad naszych rozpacznie zażarty
Odpierał dumnie. Jak z chmury rozdartej
Z wień się sypały straszliwie świszczące
Głazy, kamienie, płomieniste strzały;
War się oleju lał i głów tysiące
Leżało w kóło a jego koń biały

Jak tygrys rwał się w zgiełk. Obok choraży
Padł trupem, lecz on z rąk mu orła chwały
Pochwycił, wstrząsnął—niewstrzymany dąży
W bój po zwycięstwo. Żadna ciosu siła
Ni strzał go nie zmógł. Czy to sprawa była
Przypadku tylko?....

SOFONISBA

Zabłysło—już znika!
Już na swej drodze widzę przeciwnika,
Strasznego: leci w szalonym zapędzie
Nic się nie oprze mu i nic go nie złamie.
A Massynissa?! Ha, jeśli kto będzie,
Mógł stać na straży: jeśli czyje ramie
Pokieruje nim.... Lecz—drzeł....

BATU

Słuszne trwogi.

TAMARA

O dajcie, dajcie jaką radę Bogi!
Nadzieja nasza zaledwie zjawiona,
Znika jak tuman wśród pustyni nagiej.
Gdzie teraz wsparcie nasze, gdzie obrona?
Do kogo teraz zwrócić się?

SOFONISBA

Odwagi!

Ja będę mężną! Ten z burzą przepada,
Komu ster z ręki wydrze trwoga błada:
My nie upadniemy. Pod nieszczęść natłokiem
Zamiar mój nagle dojrzał i przed okiem
Cel stoi widny. Tym torem jedynie
Pójdę, siostró ma.

Scena 7.

Ciz i Massynissa ze starszą swoją.

MASSYNISSA

W rozstania godzinie
Jeszcze raz staję przed tobą, by nową,
Prawą powitać cię Cyrty królową.
Wierny mój Dago z swemi Libijczyki
Będzie rozkazów twoich czekał słowa,
Nim ja, liczniesze prowadząc ci szyki,
Nie wrócę tutaj. Wszakże wiesz, co chowa
Ta pierś wzburzona. Z pełnem zaufaniem
Niechaj odjadę.

SOFONISBA

My się nie rozstaniem

MASSYNISSA

Jako? Królowo!

SOFONISBA

Stało się: mą wola
Losów twych dołę zrobić moją dołą

MASSYNISSA

Ty, do obozu!....

SOFONISBA

Czyż w powolnej mecie
Mam czekać chwili, co mój los przeważy?
Lepiej w odważnie wyciągnięte ręce
Szalę uchwycić. Numidów moczary
Znam z dawnych czasów. Krew ich tak gorąca
Jak słońce nasze, zakipi w nich warem
Gdy mnie zobaczą zgietą pod ciężarem
Srogiego losu. W pośród nich stojąca
Silniej przemówię nieszczęść mych wymową
Niż jakiegokolwiek przedstawień twych słowo
Mogłoby zdziałać. Na bok więc wahanie!
Śpieszę wraz z tobą....

MASSYNISSA

Chcesz tak, niech się stanie!
Orli twój polot któż powstrzymać może!

TAMARA

Jest w tem czyn wielki i natchnienie boże—
Ja z tobą siostró!

SOFONISBA

Nie.... Ze mną jedynie
Ten starzec pójdzie. On wie o przyczynie,
Która złączyła nas tu nierozdzielnie!....
Inne jest, siostró, twoje przeznaczenie.
Metumbał poległ przy zamku obronie
Więc klucze teraz składam w twoje dłonie,
I wierzę mocno, że cobądź się stanie,
Pod te sklepienia nie wejdą Rzymianie.

TAMARA

Przysięgam na to: pierwszej trup mój krwawy
Pod starych murów gruzem się zagrziebie....

SOFONISBA

Więc załatwione już tu nasze sprawy.
A teraz siostró moja wzywam ciebie,
Jako kapłanki ojczystych mych bogów:
Zanim z uchrony tych domowych progów
Za celem moim dalekim pogonię,
Błogosławiając wznies nademną dłonie—
I głos twój łaski niebios niech przyzywa.

TAMARA (błogosławiając)

O ukochana moja! bądź szczęśliwa!
Jak u ołtarza ofiarnicze zdroje,
Tak wam poświęcam gorące łzy moje
O ty! wysoko mieszkający w niebie.
Górny Młodzianie—Słoneczny! do ciebie
Głos mój podnoszę. Ty, co w noc gwiazdzistą
Na srebrnym wozie jedziesz, rosę czystą
Na padół trzesisz, o Astarte, pani
Życie dająca, usłysz mnie! Wzywam—
Wraz wielowładnym Melkartem, tym bogiem,
Który rodzicem jest naszego rodu—
Od żalu, wstydu, rozpacz, zawodu
Brońcie ją! Wszędzie za jej śladem drogim
Niech łaska wasza idzie do pomocy.
W błyskawic ogniu i w chmur czarnej nocy
Torujcie jasno pochodu jej drogi.
Wyscie wznieśli zapał, którym płonie,
Z was jest ten ogień, co jej pała w łonie,
Więc przychylkami jej bądźcie, o bogi
Ziemi rodzinnej! Niech się spełni dzieło,
Które się przez was, z tej iskry poczęło,
Co na domowym ognisku zatłona
Świątym jest ogniem.

SOFONISBA

Tak! siła natchniona
W pierś mą wstępuje, ducha mi porywa.
Moc jakaś nowa. Rwie mnie niecierpliwa
Naprzód, przed siebie. Prędejl! prędejl koni!
W świat Massynisso! Niechaj wiatr nas goni....
Już niema dla mnie spoczynku, wytehnienia,
Aż się przeważą szala przeznaczenia
I wiedzieć będę, czym jest niewolnicą
Albo królową—nad wolną ziemią!....

Koniec aktu drugiego.

HISTORYA

O JANASZU KORCZAKU

I O PIĘKNEJ MIECZNIKÓWNE

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Janasz wcale się do snu nie sposobił: potrzeba
było czuwać. Wieczorem przyszła gorączka, ale ta
raczej pomogła niż zaszkodziła, dawała siłę choć

kosztem życia i chwilowo. Któż się z godzinami
jego rachuje, gdy o spełnienie świętego obowiązku
chodzi?

Obwinieły płaszczem, Korczak postanowił od je-
dnej do drugiej chodzić straży i czuwać nad ludźmi,
których łatwo mógł uspić pozór bezpieczeństwa.
Wszystko to, co on i Nikita słyszeli na zamku od
ludzi, przekonywało, że Dorszak, znający miejscow-
ność doskonale, mógł sam naprowadzić Tatarów. Ta-
tiana, którą widziano przesuwającą się, gotową by-
ła pomódz im do wdarcia się we wnętrza jakąś nie-
znaną drogą, mogła podrzucić ogień. Ciemna noc
ułatwiała podkradnięcie się pod mury. Ludzie nie
umieli odgadnąć z której balki można się było na-
paści spodziewać, musiano więc ze wszech stron się
pilnować. Szczęściem noc była cicha i tentent ko-
ni słyszeć było można zdaleka.

Ludzie stali nastawiając ucha. Na zamku naka-
zano milczenie i czaty się tylko odzywać miały
prawo.

Kilka razy wchodził Janasz na jedną i drugą ba-
szczę, usiłując przejrzeć gęste ciemności, lecz noc
pokryła świat tak grubą zasłoną, że za ledwie niebo
od ziemi rozróżnić było można.

Miecznikowa świadoma niebezpieczeństwa, dzie-
lic je chciała z innymi, nie kładła się więc i z ró-
żancem chodziła po izbie, zamyślona o domu, o mę-
żu, o dziecięciu i o powrocie do Mierzejewic. Nie-
pokoiło ją to, że Duleba słowa dotrzymać nie mógł
a ludzi było niewiele, Janasz słaby i nikt, oprócz
Nikity, zastąpić go nie mógł. Posyłała kilka razy
dowiadując się o niego, czy poszedł odpocząć—
odpowiadano jej, że nie wracał do mieszkania i czu-
wał z innymi.

Książd Żudra, choć ochotny wielce, sprawy ry-
cerskiej zapomniał był i małą mógł być pomocą.

Miecznikowa rozmawiała z nim, gdy Jadzia, któ-
ra długo od okna do okna chodziła, wyrwała się
niepostrzeżona.

Pocichu zbiegła ze wschodów, na których teraz
ciągle palono lampę i posunęła się ku głównym
drzwiom, spodziewając się może znaleźć Janasza. Tu
nie było nikogo, ludzie tylko spoczywający przy
ognisku w wielkiej izbie, która za kuchnię czeladnią
i odwach służyła, gwarzyli głośno.

Wyjrzała drzwiami na podwórze, tu było ciemno,
cicho—i deszcz ściekał kroplami z dachów.

Wśród milczenia głuchego jak stłumione mru-
czenie dochodziły głosy z dolnego zamku.

Smutkiem i trwogą zadrgało serce dziewczęcia.
Cień jej zapewne spostrzegłszy we drzwiach, Janasz
zbliżył się powoli; poznała go po chodzie.

— Co słychać? szepnęła.

— Ciszę — rzekł Janasz, nic, nastawiamy ucha,
przykładamy je do ziemi. Wracam od mostu, lu-
dzie przy nim stoją w gotowości, nikt nie śpi, pil-
ność największa. Panie się przynajmniej położyć
możecie i spocząć ufając we mnie.

— Spocząć? zasnąć! aby się zbudzić na krzyk dzi-
czy i wrzawę—nie! nie! odezwała się Jadzia—wola
niebezpieczeństwo widzieć przychodzące, niż uczuć
je gdy na nas spadnie, ale z którejże strony.

— Nikt tego odgadnąć nie może—mówił Janasz,
ludzie się spierają; Tatarzy jak pamięć zasięga nie
napadali już na Gródek. Mówią, że ich tu niedługo
zaskoczono i pobito, nim uciec zdolali, że kośćmi ich
usłane uroczysko, które się do dziś dnia Tatarskiem
zowie i że nie radzi puszczać się od stepu między
góry. Ale mają dobrego przewodnika w Dorszaku.

— Mój Boże! zawołała Jadzia, gdy po raz pierw-
szy go zobaczyła, strach mnie przejął; na twarzy
miał napisaną zdradę.

Westchnęła dziewczę.

— Gdyby nie wy, po nas by było! odezwała się
cicho—dziś byśmy spętane nosiły wodę koniom ta-
tarskim.

— A! nie wspominaj pani o tem, przebyliśmy za
łaską Bożą tę chwilę—zapomnijmy o niej.

— Wam to wolno, nam nigdy — mówiła Jadzia.
Ja nie zapomnę nigdy i tego, że wam życie winna
i że śmiałam was tchórzem nazywać, gdyście nam
odradzali.

— Nie śmiałam mówić wam tego, dodał Janusz,
lecz gdy po raz pierwszy sam wyjechał na obwód
granic, zabłądziwszy, najeżdżaliśmy na obwód w do-
linie, który nie mógł być innym jak tatarskim. Dor-
szak śmiał się ze mnie mówiąc, że pograniczną
straż wziął za orde, ale ja przecie obóz komputo-

wych rozeznac bym umiał, a Dorszak miał do tego
pobudki, że mi przeczył.

— Jakto? widzieliście?

— Tak, dodał Janusz, zdala dostrzegliśmy namio-
ty ich i tabun koni, aleśmy z gęstwiny niepostrze-
żeni ujść mogli.

Jadzia zamyśliła się i wzdrgnęła.

— Bardzo wam dolegają rany? spytała.

— A! nie a nie! rzekł Janasz, tyle tylko bym pa-
miewał, że gdy się najbezpieczniejszym człowiek
czuje, ostróżnym być powinien.... i — nikomu nie
wierzyć.

— Jakto, nikomu? spytała Jadzia.

— Nieznajomemu — wytłumaczył śmiejąc się Ja-
nasz.

— Ale byś dobrze zrobił, żebyś poszedł spocząć,
panie Janasz, ozwała się.

— Niemogę, wy spoczywajcie. Któż wie gdzie
teraz Miecznik i czy ma chwilę spoczynku? Wstyd-
by mi było zmrużyć oczy na chwilę.

— A mnie was żal! żal....

— Panno Jadwigo, ale ja jestem najszczęśliwszy
z ludzi! Może być większe szczęście jak dobro-
dziejom swym służyć. Ja pamiętam dobrze, że w
wam winien wszystko.

— Zapłaciłeś nam już dług z nawiązką — rzekła
Jadzia—i myśmy wam obowiązani.

— Godzi się to mówić!

— Jaby wam daleko więcej powiedzieć chciała,
ale — mi niewolno — szepnęła Jadzia. Matunia mi
dała burę, gdy w chciała iść was pilnować.... nie
wiem prawdziwie dlaczego.

Spuściła oczy. Janasz drgnął i zarumienił się,
ale po nocy nie można było dostrzedz wyrazu jego
twarzy. Zbliżył się z uszanowaniem do Jadzi i ca-
łując ją w rękę, rzekł głosem wzruszonym pocichu:
noc taka słotna i wilgotna — proszę was, wracajcie
na górę.... I szybko zszedł parę wschodków na dół,
tak, że nim Jadzia głowę podniosła, już go nie było.

Stała jeszcze chwilę we drzwiach, patrząc w ci-
emności i powoli wróciła na wschody wdychając.

Janasz odszedłszy kilka kroków, stanął jak wry-
ty. Biło mu serce, nie myślał teraz o niebezpie-
czeństwie, ani o Tatarach, rozważał tych słów kil-
ka, które się dziewczęciu wysliznęły z ust mimo-
woli—i rachował się z sumieniem.

Jadzia była tak młodą i tak dziecinną jeszcze—
do niego należało trzymać się od niej zdala i nie
rozbudzać uczuć, które w nim dawno mieszkaly, ale
wyjść na świat nie miały prawa. Miecznikowa więc
spostrzegła zbyt nie spoufalenie i zbliżenie? Może
posadziła go.... Myśl ta paliła Janasza. Czuł się
niewdzięcznym i zdrajcą, uznawał winnym. Nie wi-
dział w tem nic złego, co już oku matki niebezpie-
cznem się wydawało!

Był im może ciężarem!

Szlachetne serce sieroty wzdrgnęło się na samo
posadzenie go o tak czarną niewdzięczność.

Nigdy nie podniósł oczów na Miecznikównę z myślą
jakąś zuchwałą; była ona dlań istotą świętą—czemś
więcej niż siostrą; a dziecię to tak było anielsko do-
bre, iż go swą zbytnią poufałością zbliżało, ośmie-
lało, zmuszało zapominać jaka ich niezmierzona
przepaść dzieliła.

Nigdy dotąd nie miał zamiaru, sam dobrowolnie
opuścić dom Miecznikowstwa, teraz widział, iż po-
winien to być uczynić, aby im przykrości wypra-
wiania go oszczędzić. Na cóż miał sobą obudzać
niepokój i sam się przywiązywać do tego dziewczę-
cia, które musiało dlań pozostać czystym obrazkiem
zawieszonym w obłokach? Przypominał sobie mło-
dość sierocą, niedolę, ubóstwo, opuszczenie, opie-
kuńcze skrzydła, które go przytuliły i ogrzały
i wzdrgnął się znowu—widząc że mógł mimowol-
nie opłacić dobrodziejstwo troską i niepokojem.

— Dosyć już tego—rzekł w duchu—Miecznikowa
trzeba odprowadzić do domu, a potem ich pożegnać;
muszę sam poprosić Miecznika, aby mi odejść po-
zwolił—zaciągnę się choć bez pocztu pod czyjakol-
wiek chorągiew. Tak zawsze trwać nie może.

I myśl mu uprzytomniła rozstanie, odjazd, poże-
gnanie na wieki, puszczenie się w świat obcy, tę-
sknoty za tym domem, który dlań był rodzicielskim.
Gdyby się nie wstydził, zapłakałby był może.

— Nie trzeba dać sereu przyrastać, aby się nie
krwawiło, gdy oderwać je przyjdzie. Czem prędzej
tem lepiej—w świat! w świat!

Poruszył się z miejsca, w którym stał i począł po

ciemnem podwórzu przechadzać. Potrzebował gwałtownego ruchu i zajęcia, aby o tym bólu jednym słówkiem wywołanym zapomnieć. Chciał popełniony, jak mu się zdawało, błąd naprawić. Jadzia nie była winna—on jeden—a Miecznikowa już dostrzegła, że zbyt z sobą byli poufale, powinien więc być zejść na stopień właściwy i nie zapominać, że był sługą i ubogim sierotą. Nie miał żalu do Miecznikowej—ale do siebie.

— Zapomnieć się było łatwo, przy ich dobroci—rzekł—ale opamiętać czas! Żywym krokiem pobiegł na zamek dolny, do bramy i mostu znowu. Ludzie stali w miejscu. Najmniejszego szelestu, żadnego znaku niebezpieczeństwa.

Nikita pilnował także i wesołą rozmową ludziom dodawał otuchy.... Koguty piał już na północ. W powietrzu nie się nie zmieniło; chmury ciemne ciągnęły nisko nad ziemią i deszcz zwiększał się jeszcze. Na dolnym zamku gromada ludzi, poosławiana rozpiętymi radnami, poprzytulana do daszków i szop, tuląc się pod wozy, zasypiała. Czasem tylko rzenie koni lub beczenie owiec zbitych w kupę, przerywało tę ciszę straszną oczekiwania. Godziny wydawały się długimi jak wieczność. Janasz powrócił na górny zamek, wszedł na jedną z baszt, popatrzał w ciemności, powrócił na dół i trawiony myślami i gorączką, bładził tak z miejsca na miejsce z wzruszającym w duszy niepokojem.

Koguty zapiały raz wtóry, sił na tę przechadzkę brakło, obwinał się więc w płaszcz, siedział w progu, oparł o drzwi i pozostał tu na straży. Czaty się obwoływały.

Nareszcie ta nieprzebyta noc zbliżała się ku końcowi, na wschodzie niebo cokolwiek się stało jaśniejszym, z pod chmur pas błady światła wystąpił i zwolna rozszerzać się zaczął ku górze, deszcz się zmniejszył, obłoki zbity w gromady, wiatr zerwał—chmury pędziły po niebie....

Ta chwila brzasku, zdaniem ludzi, miała być najniebezpieczniejszą, bo napady często nad ranem, gdy sen bywa najcięższy, zdarzać się zwykły. Wstał więc Janasz obchodząc straż i rozbudzać je, bo wielu pousypiało. Zmieniono ludzi i postawiono nowych. Nikita poszedł sam opatrzyć pale czy słoma nie zamokła od deszczu.

W tem, gdy u mostu oba stali, zatętniało w dali. Nikita drgnął pierwszy i dał znak Korezakowi.

— Baczność—bacznie! rozległo się ciche nawoływanie. Janasz skoczył do bramy, aby z górnego piętra spojrzeć z kądem tentent pochodził. Stawał się on coraz wyraźniejszym. Zdało się jednak, że nie tabun szedł, ale niewielka ilość koni—i to zwolna. Może jaka straż przednia.

Z bramy, której wyższe piętro stało pustkami, okna otwarte na cztery strony dozwalały sięgnąć daleko wzrokiem. Janasz spojrzał od zachodu z wąwozu wyjeżdżającą gromadę ludzi. Mrok ranny nie dawał ich rozpoznać. Sporym kłusem zbliżali się do miasteczka, bez okrzyku i w porządku.... Ludzie się już na dolnym zamku budzić zaczęli i niewiedzieć z kądem rozszedł się okrzyk—Tatarzy! ale Janasz zbiegłszy co rychlej, nakazał milczenie. Strażę czuwały, a kobiet przestraszać nie chciał.... Jedni budzili drugich, w chwili wszystko na nogi się przerażone porwało.

Konni znikli za dachami miasteczka. Liczba ich najmniejszej nie sprawiała obawy. Zdawało się Janaszowi, że nie było ich więcej nad kilkunastu, przypuszczał, że Dorszak się puseł na zwiały.

Nikita na wszelki przypadek, już był ognia naniecił, aby pale podżegnać, gdyby się nieprzyjacieli ukazał, gdy za mostem ukazała się gromada jadąca powoli. Tu ją już dobrze rozpoznać było można. Przodem jechał we zbroi lekkiej, młody i piękny mężczyzna, odkryty burką podszytą szkarłatem, na koniu strojnym w rząd złocisty. Za nim kilkunastu ludzi w porządku postępowało, na dzielnych wierzchowcach, jednako ubranych. Podjechał pod most i postrzegł straż, stanęli. Janasz naprzeciw wyszedł.

Przodem jadący zsiadł zaraz z konia i postąpił ku niemu.

— Czołem.

— Czołem.

— Dowiedziałem się od pułkownika Duleby—ozwał się przybywający, że tu może być ludzi potrzeba pani Miecznikowej Zboińskiej. Mnie tu los skazał na nieczynność, a raczej król jegomość, bo mi

przy pułkach na pograniczu zostać polecił i swoich a cudzych majątności pilnować. Z obowiązku więc pośpieszam z odsieczą.

Janasz się skłonił.

— Jestem Jabłonowski, Kasztelan Bracławski, rzekł młody człowiek.

— Bardzośmy Waszej Miłości wdzięczni za pomoc w złym razie, bo nam tu Tatarowie grożą.

— Słyszałem o wszystkim—odezwał się przybywający. Tatarzy, rozzuchwaleni a raczej rozjuszeni, być może iż się pokuszą, ale nie damy się im, śmiejąc się dodał kasztelan i uderzył po szabli.

— Więc na zamek proszę, rzekł Janasz.

— Któż wy jesteście? zapytał Jabłonowski.

— Jestem Janasz Korezak, sługa p. Miecznika—rzekł z pokorą chłopak kłaniając się—zastępuję tu dowódcę, gdy lepszego pod czas niema.

Na zamku wygodę mieć nie będziecie, lękam się, ale uczynimy co można, aby konie i ludzie głodni nie byli. Ponieważ na dolnym zamku ludu siła się się schroniło, na górny, do nas, proszę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KORESPONDENCYA Z ZAGRANICY.

Cisza w mieście.—Przejazdy do wód i Zakopanego.—Trochę o Zakopanem i kobietach, oraz o kwestyi żydowskiej.—Wieć miejski.—Pomoc dla rodzin urzędników.—Urzędnikomania i obawa samodzielnej pracy, mianowicie u kobiet.—Nowy burmistrz Dr Mikołaj Zyblikiewicz.—Sprawa pożyczki i budowy miejskich.—Wakacje szkolne.—Kursa wakacyjne nauczycieli ludowych.—Wychowanie ludu.—Koncerty w ogrodzie Strzeleckim.—Cyrk.—Wystawa obrazów.—Dziwny wypadek w hotelu Saskim.—Upadek dziennika *Kraj*.—Urodzaje i klęski elementarne.—Magnat żebrakiem.

Kraków w sierpniu 1874 r.

Na ulicach naszego miasta od dwóch już miesięcy panuje cisza i spokój, ponieważ większa część ruchliwych mieszkańców używa wiejskiej swobody. Wszystko prawie, co jeździ powozami, z końcem czerwca opuściło miasto i chyba w nader rzadkich wypadkach można widzieć przesuwający się powóz prywatny. Ze zaś odległości u nas nie wielkie i wszyscy niestrzymający pojazdu przyzwyczajeni są do pieszej komunikacji, można więc prawie z pewnością twierdzić, że dorożki mieszczą w sobie zawsze tylko przejezdnych gości. Pod tym względem Kraków szczęśliwie położony. Ktokolwiek udaje się za granicę ze wschodu, czy to ode Lwowa, czy z pod Kijowa, albo z Rumunii, każdy musi zaważyć o nas, każdy śpieszy na Wawel, a kto ciekawszy ogląda inne także osobliwości, zajrzy na wystawę, gdzie są obrazy Matejki i w ten sposób sprowadza pewien ruch w czasie powszechnych wakacji. Prócz tego liczna drużyna przyjezdnych śpieszyła w tym roku do naszych wód galicyjskich i do Zakopanego, gdzie wszędzie roi się od gości. Szczególniej z Zakopanem ludno jak nigdy, a ton całemu zgromadzeniu nadają ruchliwi o wiele od nas przybysze. Już przyjazd Dr Chałubińskiego wywołał w Zakopanem wielką uroczystość. Górale chcieli przez wspaniałe przyjęcie wynagrodzić mu pomoc lekarską niesioną w czasie zeszłorocznej cholery, wystawili więc dla przybywającego bramę tryumfalną, witali go muzyką i śpiewem; a to proste ludu uznanie było niezawodnie miłym wynagrodzeniem podjętych w zeszłym roku trudów.

Zakopane z każdym rokiem nabiera coraz więcej uroku, ściągając coraz więcej gości, którzy tam nawet na dłuższy czas przybywają dla wycieczek w góry. Dotychczas jeszcze trzeba narazić się na wiele drobnych przykrości codziennego życia, udając się w tamte strony. Sama podróż przez boczne drogi, gdzie w razie deszczu powozem większym dostać się prawie niepodobna; przytem konieczność zabierania ze sobą pościeli, a nawet zapasów żywności; zbliża nasze wycieczki w góry, do jakiejś wyprawy staroświeckiej. Jest to formalne przesiedlanie się ludności na kilka tygodni koczowniczego życia. Nowość ta może właśnie sprawić, że Zakopane wchodzi w modę, doznaje się tam bowiem wrażeń nieznanymi, a w czasach tak nerwowych, w których ludzie gonią za niespodziankami, jest to jeszcze jedną z najzdrowszych przyjemności tego rodzaju. Że nerwy niepoślednią

grają rolę w zamiłowaniu naszych Tatrów, dowód tego znaczna liczba kobiet lubiących się bawić, które znajdują niezrównaną przyjemność w sposobie tamtejszego życia. Ale bo też kobieta umie nader wiele rozwinąć wdzięku, jeśli się nie krępuje etykietą miejską i względami toalety i zostaje w otoczeniu pełnem swobody. Ma to urok niezwykłości, daje pole do rozwinięcia przymiotów, których w zwykłym towarzyskim życiu nie można na jaw wyprawać; a pomimo wszelkich teorii o samodzielnem życiu, kobieta zawsze będzie znajdowała przyjemność w czarowaniu mężczyzny, tem co jej serce i postać zbliża w pojęciu drugiej połowy rodu ludzkiego do anioła. Pociąg to naturalny z jednej strony do czarowania, z drugiej do uniesień, bez którego świat zamieniłby się wkrótce na stowarzyszenie zarobkowe, na pełen nudnych sensatów salon, gdzieby mogło być dużo nagromadzonych bogactw i kwiatów nawet, ale nie byłoby ruchu i życia, jak go niema bez słońca w naturze.

Kobieta wywiera na nas wrażenie głównie swą tajemniczością. Nie znamy jej, jest ona dla nas sfinksem, czemś nieokreślonem, w sobie zamkniętem. Matka wpaja w nas enoty, zamiłowanie do ideału, miłość rzeczy wyższych, niepojętych, tajemniczych. Od niej dowiadujemy się o Bogu, o bliźnim, o społeczeństwie, o rzeczach zatem, których w życiu wprost nie widzimy, których definicyi, jasnego omówienia nie podaje żadna książka, żadna nauka, które potrzeba sercem poznać, sercem poczuć i przeczuć niejako. Ona nam to mówi niby od niechcenia, bez chęci popisu, bez uczoności wykładu. Szukamy tych przedmiotów w życiu, w czynie, w myśli, w słowie; im bardziej zaś napotykamy trudności w zrozumieniu, w odgadnięciu tych pojęć, tem większą tajemniczością otacza się w oczach naszych postać osoby, od której zacierpniemy pierwsze źródła naszej wiary i przekonań. Siostra zamyka przed nami serce swoje, jak kielich kwiatu i wszedłszy w świat nie zdajemy sobie sprawy z tego, czem jest kobieta. Dopiero pokochawszy, mężczyzna zaczyna poznawać tajemniczą istotę, a im więcej ją poznaje, tem bardziej się przywiązuje i owa tajemniczość życia staje się tajemnicą i talizmanem miłości. Gdybyśmy znali kobiety, tak jak znamy się pomiędzy sobą, moglibyśmy wchodzić z niemi w stosunki przyjaźni, ale nie kochalibyśmy nigdy tak jak teraz. Dziś przyjaźń, taka serdeczna, koleżeńską przyjaźń pomiędzy mężczyzną i kobietą jest rzeczą niepodobną, trwa bardzo krótko, albo pomiędzy osobami dość w latach już podeszłymi. Tak będzie zawsze, bo tak być musi. Kobieta zawsze będzie miała w sobie pierwiastek idealny, tajemniczy, nieco zamknięcia się w sobie, chociażby nawet zajmowała się pracą ręczną czy umysłową dla kawałka chleba. Mężczyzna będzie zawsze bardziej otwartym, zrozumiałym, narzucającym się, trochę tyranem, jak dziś mówią, i zawsze to tyranstwo mężów będzie pociągającym dla niewolnic, które ich będą zaprzęgały w swe tajemnicze kwiecie jarzma.

Wiele bardzo zmian przypuszczam na świecie, ale kraju naszego nie mogę sobie wyobrazić bez uroczego wpływu dziewicy. Gdyby nawet ziemia miała się z czasem w raj przemienić, to jeszcze w tym raju byłoby źle bez tęsknoty do czegoś lepszego, bez miłosnych rozpacz.

Ponieważ jeszcze nie jesteśmy w raju, trapią nas zatem różne przeciwności i horyzont życia zaciemnia tyle sprzeczności i bólów. Ścieramy się nieraz ze sobą niepotrzebnie, chociaż z dobrej wierz; pałamy niechęcią, zagrzani często widokiem własnych błędów i bezsilności. Brak nam woli i pracy, bez czego sami nie możemy sobie radzić; kiedy to są środki, za pomocą których i siebie, swój los i innych, ich błędy naprawilibyśmy mogli. Przychodzi to na myśl w obec wzrastającej u nas agitacji przeciw lichwie, przeciw wysysaniu ludności wiejskiej i tym podobnym objawom naszego społecznego życia. Wina jest, ale jest ze stron obu: jedna wyzyskuje nieogłębłą próżność i lenistwo, druga daje się wyzyskiwać właśnie dla powyższych wad. Zatem poprawa musi być wspólna: oszczędność i praca w jednej sferze, zrodzi z samej konieczności uczciwość i umiarowanie w drugiej. Oto do czego schodzi cała walka i namiętna polemika, jaką tu u nas i u was nawet od pewnego czasu rozpala umysły. Trzeba radzić i szybko radzić, gdyż społeczeństwo upada pod brzemieniem niemoralności, psuje się, traci ufność

w siebie i przestaje wierzyć w uczciwość ludzką. Im większe rozdwojenie, tem gorzej, bo z zatręceniem poczucia wspólności wyradza się egoizm, wyradza się przeciwne dążenia, a ludzie stają do walki jak nieprzyjaciele, często nie wiedząc nawet z kąd przyszli do niechęci i zawiści. Ale radzić nie znaczy wcale jątrzyć tylko rozumnie, kierować myślą i czynami.

Takie właśnie zadanie miał wiec miejski zwołany do Lwowa, celem rozpatrzenia się w przyczynach słabego wzrostu miast i wynalezienia środków moralnego i materialnego ich rozwoju. Jako pierwsza próba wiec objął znaną wiele kwestyi na raz, a ztąd wyniknął pospiech, który nie dozwolił na gruntowne ich rozpatrzenie. Jednakże i w tych dwudniowych naradach powiedziano wiele ciekawych zdań. Sprawy rozbieżne dotyczyły się przeważnie ekonomicznych pytań, pomiędzy którymi pierwszorzędna rolę odgrywało utworzenie związków kredytowych, coby mieszkańcom miast dostarczały kredytu taniego, tak osobistego jak hipotecznego, oraz zabezpieczenie urzędnikom miejskim kapitału pośmiertnego dla ich rodzin, lub emerytury po wysłużeniu pewnej liczby lat. Rzeczywiście stan urzędników miejskich nie jest godnym zazdrości; tylko parę miast większych zapewnia im przyszłość, kiedy właśnie urzędnik pozbawiony wyższej kariery, powinien przynajmniej być spokojnym o starość, mieć zabezpieczone utrzymanie dla swej rodziny. Tymczasem zwykle zdarza się, że rodzina umierającego urzędnika niema nawet za co najpierwszych zaspokoić potrzeb i schodzi do proletariatu, powiększając tak u nas liczną klasę inteligentnej nędzy.

Nie wszystkiemu winny tu miasta ze swemi urzędami; ważną rolę odgrywa w tym razie przesąd odwołujący od wielu zajęć, jakoby niezgodnych ze stanowiskiem społecznym osób liczących się do inteligencji, oraz brak fachowego uzdolnienia. Ileż to razy już pisano o równości w pracy, o szlachetności każdego uczciwego sposobu zarobkowania, a pomimo tego dawni zakorzeniony szlachecy wstępu do łokcia i funta przemaga nieraz nad rzeczywistą potrzebą. Kto odważa się nawet na podobny sposób zarobkowania, czynić to zwykł z ostatniej konieczności i zawsze poczytując pozycję swoją za nieszczęśliwą, a pragnąc pozbyć się jej co prędzej. Szczególniej kobiety najmocniej czują przykrość takiego położenia, co nie tyle przemawia przeciw nim, ile dowodzi, że istotnie społeczeństwo jeszcze patrzy na wiele rodzajów zajęć ze wstrętem i daje uczuwać pracownikom zmianę ich socjalnego bytu. Głośno nikt się do tego nie przyzna, ale jest jakby niema konspiracja, tem boleśniejsza im większa potrzeba wzywa do rzucenia się na pole zarobku. Zapewne ten przesąd jeszcze bardziej trzyma się kobiet, skoro one właśnie tak lękają się imać różnych kierunków ręcznej pracy, a tymczasem w wielu wypadkach życia kobieta tylko przez oddanie się temu rodzajowi pracy mogłaby zadość uczynić swym obowiązkom i zapewnić sobie byt znośny, całkiem niezaleźny!

Nie można się temu tak bardzo dziwić widząc, że zastarzałe choroby są najbardziej uporezywemi. Być nawet może, iż dziś już przesąd nie tyle odwołuje od zatrudnień tak zwanych niewolnych, chociaż jeszcze wielu biedę klepie na nędznym urzędzie, przekładając ten stan nad kupiectwo lud zatrudnienie rzemieślnicze. Kobiety są pod tym względem bardziej wytłumaczone, gdyż w skutek długotrwałego przesądu do ręcznej pracy, rzucały się do niej najczęściej osoby, których moralna strona nie zawsze dawała rękojmię charakteru. Otóż faktyczny ten stan przyczynia się jeszcze do fałszywego poglądu, który da się usunąć znowu dopiero na podstawie pewnego szeregu faktów przeciwnych i dłuższej ich obserwacji przez społeczeństwo. Zdaje mi się, że na to nie tyle potrzeba podniesienia oświaty, ile pewnej odwagi. Teoretycznie rzecz jest dość powszechnie uznana, a wątpliwości zachodzą głównie co do praktyki. W pewnej mierze dopomóż tu mogą szkoły fachowe kształcące kobiety do pewnych zajęć, one bowiem dają rękojmię moralnego stanowiska uczennic. Otóż zadaniem miast w tej sprawie byłoby udzielenie pomocy do kształcenia się przemysłowego kobiet, oraz zapewnienie urzędnikom za pomocą stowarzyszenia na wzajemności opartego, niewielkiego kapitału na wypadek śmierci, aby pozostała rodzina miała z kąd pierwsze poczynić

kroki do zabezpieczenia swej przyszłości. Wiec lwowski głównie zajął się drugą częścią kwestyi, a przecież obie są nierozdzielne i zarówno ważne.

Wśród letniej ciszy przebyliśmy w naszym mieście wielką kryzys i nader ważną zmianę. Na ostatniem posiedzeniu czercwowem rady miejskiej burmistrz Dr Dietl złożył urząd. Krok ten nie był wcale niespodzianką: Dr Dietl już parę razy wyrażał chęć usunięcia się od ciężkich obowiązków z urzędem prezydenta miasta połączonych i tylko ulegając namowom, dawał się skłonić do pozostania dłużej u steru. Radni miasta znowu wiedzieli o tem, że sędziwy prezydent niema już młodzieńczej energii do sprężystego kierowania sprawami zarządu miejskiego, ale wysoko ceniąc jego zasługi dla miasta położone, oraz prawosć charakteru i poważne stanowisko w świecie politycznym i naukowym, pragnęli go mieć dłużej u władzy. Z tego powodu Dr Dietl był dwukrotnie wybierany na burmistrza, a kiedy przed rokiem chciał złożyć urząd uproszono go, by dalej miastu sterował. Od pewnego wszakże czasu wskutek zbiegu różnych fatalnych okoliczności, sprawy miasta potrzebowały daleko bardziej sprężystej ręki i większej czujności, tak iż stracono nadzieję, aby schorzały burmistrz mógł przywrócić zachwiany porządek. Snać przekonanie podobne musiało dojść do wiadomości Dra Dietla, pozostawił więc radzie swobodę działania, zrzekając się swego urzędu. Wówczas na chwilę zakotłowało się w naszej radzie, chodziło bowiem o postawienie na czele miasta człowieka, któryby dawał rękojmię dobrego administratora i mógł zarazem być niejako ilustracją grodu, zawsze dbałego o swe stanowisko. Na nieszczęście od niedawna ciesząc się samorządem, i to w dość ograniczonym zakresie, nie mamy wcale powag administracyjnych, ludzi znanych ze sprawowania urzędów, którzyby się odznaczyli w tym zawodzie, a prócz tego posiadali inne potrzebne kwalifikacje. Nie łatwem zatem było zadaniem wybranie następcy dla Dra Dietla, ale rada wywiała się z niego pomyślnie, powierzając ster miasta Dr Zybkiewiczowi, powszechnie znanemu krakowskiemu posłowi do sejmu i rady państwa, bardzo wziętemu adwokatowi, którego otwarty i nieczem nieposzlakowany charakter stawał po nad innych kandydatów, a stanowisko znakomite przewodnika delegacji w Wiedniu, zalecało na posadę zaszczyconą zaufaniem współobywateli. Wybór ten cesarz zatwierdził i przed kilkunastoma dniami Zybkiewicz wykonawszy przysięgę na wierne sprawowanie obowiązków, objął nowy urząd prezydenta. Ani o jego działaniu, ani o projektach nie powiedzieć nie można jeszcze. Wybór dokonany został bardzo małą większością, zatem jeśli nie licznych przeciwników w radzie, to przynajmniej ścisłych kontrolerów swych czynności tam znajdzie. Jest to człowiek rozumny i czynny, jeżeli obok tych przymiotów okaże się równie wytrwałym jak jest sumiennym i uczciwym, to miastu można będzie rokować pod jego rządami najlepszą przyszłość. Ceniąc bardzo wysoko przymioty nowego burmistrza, nie wdaje się w przepowiednie, bo najrzadszą ze wszystkich zalet jest u nas wytrwałość w pracy i cierpliwość w czekaniu na jej skutki. Tymczasem obie byłyby tu na swoim miejscu, ani bowiem burmistrz nie może sypać z rękawa dowodów swej energii i zabiegliwości, ani też pierwsze kroki nie stanowią jeszcze rękoi niadał. Jakże trudno u nas o wyrozumiałość, iluż projektów i celów nie doprowadzono tylko do połowy skutku przez płochliwe zrażenie się przeciwnościami! Prawda, że w społeczeństwach wyżej posuniętych wszystko idzie daleko łatwiej bo utartą ścieżką; to wszelako nie powinno odstraszać nikogo—przeciwnie dla umysłów silnych stanowiłoby raczej zachętę do zwalczania trudności.

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

(Dalszy ciąg).

Na takim polu toczy walkę Adelaida, coraz inny sofizmat chwytając za broń, którą posługuje

się namiętność, aż zwolna przechodzi do podstępów. Cieszy nas to, iż w tym utworze, osnutym na tak delikatnych danych, nie znajdujemy nie, co by było naciągnięte, nienaturalne, zostawione ślepego przypadkowi, lub jakakolwiek nielogicznością grzeszące. Uzbroidł się autor doskonale przeciw tym smutnym zapytaniom i zarzutom: z kąd to się wzięło? jakim sposobem się to stało? Mogła wprowadzić tu Adelaida dać za wygraną Edmundowi i nie odrywać go od Olgi, skoro sama powiedziała i sobie i jej, że choćby się i zakochała, to nie tak pojmuje miłość jak Olga i nie pójdzie, bez względu na swe położenie, za pierwszym lepszym światelkiem. W takim razie jednak nie taki byłby to charakter, jakim chciał go mieć autor. Dla niego, jest to kobieta silna i wolą i ideą, którą wyznaje; ona nie tylko sama nie dopuści się zbrodni, ale i nikomu z obchodzących ją zbrozić nie dopuści: też samą walkę którą prowadzi sama z sobą, przeprowadziłaby w imię swojego ojca, brata, stryja, każdego blizkiego członka rodziny, a tem samem i Edmunda. Nie ustąpi ona na krok od swych przekonań—i to ją tu właśnie czyni istnie dramatyczną. Lecz że przekonania te są w ogólnej zasadzie ludzkiej i moralnej fałszywe, przeto wszystkie rozumowania Adelaidy wychodzą na sofizmata, a czyny płynące z nich—na występki.

Trzeba oderwać Olę od Edmunda, ale jak?... Adelaida zbyt jest szlachetną w gruncie duszy i zbyt prawdziwie kocha swą przybraną siostrę, ażeby to oderwanie miało stanowić krzywdę dziewczycy. Ją trzeba tylko ratować od nierozsądnego kroku, ale nie gubić. Ona temu nie winna, że ją wykolejono z właściwej drogi, że dziś nie może ograniczyć się na uczuciu i chacie jakiegoś leśnika lub ekonoma, podobnego ojcu: pozostawić więc ją tak jak jest, znaczyłoby to wypędzić ją z domu. Jej należy dać szlachetniejszą pozycję, choćby ubogą, ale niepodległą, taką iżby bez megalomanii mógł o nią oświadczyć się jakiś odpowiedni jej wychowaniem młodzieniec ze szlachty wiejskiej, lub z klasy zajmującej się pracą wyższego rzędu po miastach. Dziewczyna przez jakiś czas zapomni o swym chwilowym kaprysie zamkowym i będzie szczęśliwą w białym jakim dworku, zbudowanym na miarę jej pochodzenia. Uzyskuje więc Adelaida od któregoś z bogatych krewnych kilka tysięcy reńskich i namawia ojca, ażeby dał je Burskiemu, jako wynagrodzenie za długoletnią służbę, które może mu posłużyć do nabycia kawałka ziemi na własność. Kładzie tylko warunek taki, ażeby Burski wyjechał wraz z córką w tajemnicę i ślad za sobą zatracił.

I ten czyn i ten warunek zachwycają jak ojca tak córkę. Burski na stanowisku właściciela ziemskiego, choćby kilku włók ziemi, będzie nareszcie panem i ojcem; a że ma wyjechać w tajemnicę i bez śladu, to tem lepiej, bo w ślad za nim na nowe miejsce jego pobytu nie pójdzie wieść o jego przeszłym ekonomstwie, a szlachcie na zagrodzie równy wojewodzie. Olga wytłumaczyła sobie ten postępek, delikatnie obmyślana przez Adelaidę możliwością podniesienia jej wobec Edmunda, któremu teraz oczywiście składniej będzie ubiegać się o rękę córki właściciela ziemskiego, niż prostego sługi. I w takim usposobieniu, wraz z ojcem wyjechała, by osiąść na kawałku skały, rodzącej zaledwie owies, w romantycznym a zapadłem ustroniu Beskidów. Tam ona oczekiwac ma, w swoim tylko, niestety, mniemaniu, zjawienia się Edmunda.

Tymczasem Edmund, zajęty sprawami publicznymi bardzo niebezpiecznej natury, jakiś czas nie był w zamku, i za powrotem dopiero dowiedział się o nagłym zniknięciu Olgi. Nie był on jej jawnym konkurentem, zdaleka więc tylko pytał Adelaidę, która, w zgodności ze swą myślą, pozostawiła go w mniemaniu, że Olga bez żalu i obojętnie wyjechała, jakby rozstanie się z nim nie ją nie kosztowało, jakby go porzuciła.

Słaby to człowiek, w punkcie spraw serdecznych, ten Edmund, i autor umyślnie a świadomie czyni go takim. Dzielnym jako mężczyzna w sprawach publicznych, wiernym służący jednej idei, chwile się między dwiema miłościami i zapominając o szczęściu, które go opuściło bez śladu, zwolna, po przebyciu pewnej boleści, zwraca się do szczęścia, które pozostało. Inny, kochający silnie i prawdziwie, rzuciłby się natychmiast za śladem, piekło i niebo poruszył, by odnaleźć miłości swej przedmiot

Edmunda od tego kroku wstrzymuje nie tylko słaba miara uczucia, ale i to, że go sprawy publiczne przykuwają do miejsca. Znowu więc po stracie Olgi, chce na odwrót pocieszać się przy Adelaidzie; ale ta trzyma go teraz w chłodniejszej jeszcze atmosferze, niż przedtem. Ona wyrozumowała sobie, że to co uczyniła, stało się bez żadnych pobudek osobistych, tylko w interesie idei i istot ją obchodzących i tem tylko koła głuche gderanie sumienia; gardziłaby sama sobą, gdyby coś osobiście z czynu swego skorzystała.

Przeciwnie, Adelaida w zadosyć uczynieniu idei, wychodzi sama za mąż za starego hrabiego Wojciecha, który jest człowiekiem prawym, rozumnym a wielce bogatym, ale wyglądą na jej ojca lub dziadka. Dopięta więc celu, zyskała po swojemu poemowane „szczęście kobiece“.

Niebawem jednak przekonała się, że ludzie postronni są zupełnie profanami w zapatrywaniu się na wielką ideę. Zamiast uznać w niej bohaterkę ofiarującą się dla podtrzymania rodu, na odpowiednich mu wyżynach, by stamtąd działał na społeczeństwo, stosownie do swego znaczenia, profani obcy i swoi widzieli w niej poprostu kobietę, co sprzedawała się za pieniądze, nie mogąc mieć dla hrabiego Wojciecha ani iskierki tego uczucia, jakiego mąż ma prawo wymagać od żony. Trzeba więc przekonać tych profanów, że tak nie jest; trzeba skłonić męża do zajęcia takiego stanowiska w narodzie, które duchem ofiary budziłoby sympatyę, a rozumnie zajmowane, nadawało władzę i urok należny ludziom wyższego pochodzenia i umysłu. Wtedy ona i sama coś więcej w sercu poczuje dla męża, z bogatego zasługą publiczną i drugich będzie mogła przekonać, że człowiek, który ma za sobą wszystkie inne zalety, prócz młodości, jeszcze być może pożądanym dla siebie samego, nie tylko dla swych bogactw. Mąż z zapalem przyjmuje insynuację żony, która widząc jakoby jego odrodzenie się, nabiera dlań rzetelnego uczucia i przejmuje się myślą jakiejś bohaterki Trembowelskiej; gdy hrabia Wojciech na samym wstępie do działania ginie w okropnej katastrofie. Adelaida z narażeniem własnego życia i czci niewieściej, podzielała niebezpieczeństwo męża, a straciwszy go, uczciwymi łzami śmierć jego opłakiwała.

Swoboda i całkowity majątek, jaki odziedziczyła po mężu, nie przynosiły jej ulgi we wdowieńskim stanie, aż nareszcie stara jakaś ciotka zlitowała się nad nią i szepnęła coś o Edmundzie, który po katastrofie bawił przymusowo za granicą, w Paryżu. Kto wie co by wyszło z tej miłosiernej i praktycznej rady, gdyby Adelaida, która już znała się na spojrzeniach ludzkich, nie była zmiarkowała, że one ją znowu przesładują. To co one zaznaczały tylko, dało się wyraźnie słyszeć w głosie jednej z dewotek: — Adelaida ukartowała sobie z Edmundem, ażeby odegrać komedię wdowieństwa i zyskać spadek, postarawszy się o rychłe małżeństwo, dla użycia majątku z wybranym. Głos taki miał za sobą wszystkie pozory prawdy — i dumną a prawą arystokratę pychał do rejestru wyrafinowanej zoro-dniarki.

Takiego stanu wytrzymać nie mogła Adelaida, taki stan wreszcie otworzył jej oczy na rzeczywistą wartość idei, której trzymała się uparcie i na czyn, którego się dopuściła względem Olgi. Chciała teraz wszystko naprawić i błąd swojego żywota, który jej już niezagłuszone sofizmatem przesądu wyrzucało sumienie i rozerwane chęci dwojga ludzi zestawić, — i jednocześnie tem właśnie zestawieniem zadać fałsz pogłoskom ludzkim. Czy tylko to nie będzie za późno? Tego właśnie pojechała dowiedzieć się od Olgi, po roku.

Ta nie doczekawszy się Edmunda i otrzymując od Adelaidy listy, w których o nim żadnej nie było wzmianki, zrazu zrozumieć nie mogła tego wszystkiego, aż nareszcie wieści, przez gadatliwe usta starego manijaka, wydobyły się cichaczem z dalekiego

zamku, przepłynęły aż do niej i oświeciły ją o rzeczywistości. Był to cios dla Olgi straszliwy, pierwszy zawód i rozczerwanie, pęknięcie błyskotliwej bańki wymarzonej idealów, cios, który omal nie pozbawił jej od razu wiary w ludzi. Zrazu mocno rozboleła i zagniewana na sprawców zawodu, za chwilę dała wiać górę wrodzonej dobroci, sama siebie mieniać niewyrozumiałą egoistką. Wróciła jej wiara w serce Adelaidy i nawet w miłość Edmunda. Nienależona idealistka ta powiedziała sobie, że nie powinna go przestać kochać zdaleka, choćby on zmuszony światowymi stosunkami, zawsze oddalił się od niej. Nie rozstała się z wiarą, ani z miłością swą, ani, co większa... z nadzieją. Za taki rys kobiecego serca, wdzięczne zapewne będą autorowi kobiety, te mistrzyni w zaparciu się. To pewna, że autor kobiecą tę cnotę, samą siłą swą posuwającą się aż do granic słabości, nie tylko że w porę pochwycił, ale i dla rozwiązania charakteru naczelnego w powieści, umiejętnie spożytkował.

Olga, oczekując może Edmunda, doczekała się Adelaidy, którą przyjęła z całym wylaniem radości. Adelaida, jakkolwiek przeżyła pewną szkołę doświadczenia, nie mogła wszelako do tyła przerobić natury swojej i wrodzonych zasad, żeby zaraz zrównać się uczuciowością z przyjaciółką. Ona przybyła tu nie tyle, iżby nawiązać rozpadłe serce dwojga szczęście, którego rozkosznej potęgi i wyłączności jeszcze nie zdolna była uczuć, ile żeby wyjść na czysto ze swem sumieniem i reputacją. Zdziwiła się też nie pomалу, kiedy Olga z zapalem wyraziwszy jej miłość swą dla Edmunda, oświadczyła, że za mąż za niego nie pójdzie nigdy, a to iżby mu nie psuć szczęścia, które może znaleźć gdzieindziej.

(Dokończenie nastąpi).

NA WSCHODZIE,

USTĘP Z WYCIECZKI NAD AMUR

Napisał S. Maksimow.

Handel herbata.

(Dalszy ciąg).

Pierwszy listek ukazujący się na korze, lecz jeszcze nie rozwinięty pokryty jest delikatnym białym puszkem, jakby włóknami białego jedwabiu i ma postać igielki, a z tego też powodu nazywa się *nin-dzin* (srebrna igielka). Jest to najpierwszy gatunek herbaty. Zebrany z pierwszych listków świeżo-zasadzonych drzew, z najwcześniejszych pączków mo-ucza stanowi on największą rzadkość, którą posyłają jedynie bogdyhanom i mandarynom najwyższych stopni, a niewielką ilość rozdają przyjaciółom jako podarunki. W handlu ten gatunek herbaty wcale nie jest znany, a jego zbiór wielce szkodzi plantacyom. Zresztą deszcze w ogólności działają na młode rośliny bardzo korzystnie i znowuż liście się pojawiają. Po upływie dwóch lub trzech tygodni gałązki na nowo pokrywają się listkami gotowemi do nowego zbioru, najważniejszego w ciągu całego roku.

Liść herbaty zwrastając i rozwijając się stopniowo, przyjmuje pozór kwiatu dojrzałej wiśni na spodniej stronie, a na zwierzchniej zachowuje ten sam delikatny puszek srebrzystego koloru, o którym już wspominaliśmy. Wedle tych cech znawcy herbaty określają jej przymioty i przypuszczają, że puszek zawiera w sobie aromat, a ciemno-wiśniowa spódnia część liścia natomiast sok, albo wystój. Z powodu podobieństwa do bożyszczka wyrażającego długoletność i przedstawianego pod postacią zgarbionego starca z wysoką naroślą na łysej głowie,

z rzadką białą brodą i długimi siwymi namarszczonymi brwiami Chińczycy temu drugiemu gatunkowi herbaty nadali nazwę tego boga szeu-mej (szeu — brwi), chociaż w handlu tem gatunek zwany jest bardziej pod nazwą aromatycznego lian-sina (to jest kwiatu sercowego). Europejczycy nazywają go kwiatowym i na równi z nim, do tego samego rodzaju, zaliczają *psileza* (skórzana herbata), zbieraną z kwiatków rosnących na korze (skórze) drzewa.

Herbata rosnąca na górskich spadziściach, zwróconych ku południowi, uważa się za najlepszą i jest wyższego gatunku, a z tej przyczyny, że jej plantacye zakontraktowanemi zwykle bywają przez sansińskich kupców, w handlu nosi nazwę familijnej. Przeciwnie, herbata dojrzewająca na północnych górskich urwiskach, zbieraną bywa przed biednych Chińczyków i sprzedaje się po cenach bardzo niskich, zmieszana zaś z innymi gatunkami (czarnymi, jak je nazywają w Moskwie), przypieczona i podmalowana, idzie do Szanghai dla Anglików i uchodzi u nich za prawdziwą i najlepszą. Przypiekają ją dla tego, ażeby nadać liściom ciemno-wiśniowy kolor (smak jej pozostaje i nadal bardzo ostrym i przykrym), a jeżeli liść herbaty okaże się niezdolnym do przyjęcia na siebie tej przemiany, to poprostu go podmalowują, to jest nastrzykiwają różnemi farbami rozprowadzonymi w wodzie.

Trzeci gatunek herbaty, najtańszy, przygotowuje się z dojrzałych już liści; najlepsze z nich tworzą wyższy rodzaj, czerwona herbata, nazwaną *hun-mej*, na cześć czerwonych brwi bożyszczka ognia.

Herbatę zbierać zaczynają od pierwszego miesiąca wiosny (to jest od pierwszego miesiąca roku), i uskuteczniają tę czynność przez ciąg całych trzech potem następujących miesięcy. W pierwszym miesiącu zbierają gatunek najwyższy, w drugim kiedy liść stanie się bardziej grubym, utraci delikatny aromat, lecz za to zawiera w sobie będzie więcej soku, wystoju, dobre gatunki; a w trzecim miesiącu tak zwane sansińskie, z powodu swojej taniości bardzo dogodne dla kupujących. Te ostatnie gatunki herbaty zwykle mieszają się z innymi wyższymi, przy-czem operacya podobna z jednej strony zmniejsza wydatki poniesione na zakup najlepszej herbaty, a z drugiej w ogólności przedstawia dla kupującego bardzo wygodne wyrachowanie w cenie nabytego towaru. Gatunki te herbaty dla Kiachty sprzedawane były w Kałganie, a w samej Kiachcie znowu sortowane na różne rodzaje: wyższy, pierwszy, drugi i t. d. Z nich pierwsze dwa z po wysortowaniu wielce zbliżają się do tak zwanych familijnych gatunków, a z tej przyczyny sprzedawane były w Moskwie i innych miastach rosyjskich trochę taniej od drugich. Znane w Kiachcie gatunki herbaty są następujące: kwiatowy, handlowy, kwadratowy, niekwadratowy, pierwszy, drugi i trzeci. Z familijnych: van-sin-czi, my-in-kon, szyty-czuan-chyn-sinty, san-jakon, siu-fajon, ko-fa-czuan i san — i czuan.

Po dokonaniu zbioru, przy sprzyjającym powietrzu, za które uważa się ciągle trwająca pogoda, albowiem przy atmosferze wilgotnej i pochmurnej liście szybko rosną, tracąc puszek, a z nim razem i aromat, przygotowana herbata z gór fuczkańskich wynoszona bywa na umyślnie do tego celu przyrządzonych bambusowych nosidlach do miejsc, z których ma być wyprawiona w dalszą drogę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści **Middlemarch**.

TREŚĆ: Osobiste wspomnienie z życia Maryi Somerville, (dalszy ciąg). — **Niewiasta polska**, (dalszy ciąg), przez K. Wł. Wójcieckiego. — **Sofonlsba**, tragedia, (dalszy ciąg), przekład Józefa Grajnera. — **Historia o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie**, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — **Korespondencya zagraniczna**. — **Przegląd piśmienniczy**, (dalszy ciąg), przez Kazimierza Kaszewskiego. — **Na wschodzie**, (dalszy ciąg), przez S. Maksimowa.